

ELIZA

ORZESZKOWA

A... B... C...

Eliza Orzeszkowa

A... B... C...

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

A... B... C... / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Biedna dziewczyna odnajduje sens życia w uczeniu ubogich dzieci alfabetu. Niestety, jest to polski alfabet — a to oznacza konflikt z carskim prawem. Klasyczna nowela podejmująca temat pracy u podstaw jest jednocześnie ostrą krytyką zaborczej polityki kulturalnej. Joanna Lipska trafia przed sąd za nauczanie języka polskiego. Wyrok jest stosunkowo łagodny — trzy miesiące więzienia albo grzywna — ale to i tak więcej, niż jest w stanie unieść uboga intelektualistka. Eliza Orzeszkowa w swoich pisanych przez cztery dekady tekstach podążała za kolejnymi trendami literackimi: od romantyzmu, przez realizm, aż po prozę niemal modernistyczną. Przyjaciółka Marii Konopnickiej, uczestniczka powstania styczniowego w którym pomagała Romualdowi Trauguttowi, mocna kandydatka do Nobla (ostatecznie przypadł Sienkiewiczowi). Nieustrudzona obrończyni postępowych wartości.

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

Содержание

Od wydawców	5
A... B... C...	6
Конец ознакомительного фрагмента.	10

Eliza Orzeszkowa

A... B... C...

Od wydawców

Niniejsza nowela E. Orzeszkowej oparta jest na rzeczywistości, aż nadto dobrze pamiętnej starszemu pokoleniu ludności polskiej w b. zaborze rosyjskim. Sprawa Joanny Lipskiej, obwinionej i skazanej na karę za nauczanie małych dzieci, przypomina nam niedawne jeszcze czasy, kiedy nigdzie na ziemiach polskich, zagarniętych przez Rosję, nie wolno było uczyć po polsku, nawet abecadła, ci zaś, co uczyli, podlegali prześladowaniu i surowym karom.

A... B... C...

W jednym z większych miast wielkiego państwa Joanna Lipska codziennie przechodziła około gmachu, którego front teraz właśnie rozszerzano i przyozdabiano, najlżejszej uwagi na niego nie zwracając. Wielkie było państwo i wielki zbudowany przez nie gmach sądowy; cóż ona z potężnymi wielkościami temi mieć mogła wspólnego? Wiedziała, że w tych obszernych ścianach, porzniętych szeregami jasnych okien, rozstrzygają się losy tych, którzy wiodą majątkowe spory lub popełniają występki i zbrodnie. Majątkowych sporów ona mieć nie mogła, nie mając żadnego wcale majątku; gdyby zaś kiedykolwiek nasunęła się jej myśl, że może być obwiniona o popełnienie zbrodni, wprost parsknęłaby śmiechem. Ale myśl ta nie nasunęła się jej nigdy, i nigdy gmach sądowy nie zwrócił na siebie szczególnej jej uwagi. Była ona tak mała ze swem skromnym nazwiskiem, ze swem zupełnym ubóstwem i ze swą szczupłą dziewiczą kibicią!

Nosiła zawsze czarną wełnianą suknię i czarny kapelusz, ani ozdobny, ani modny, lecz z pod którego widać było gęstwinę ślicznych włosów, tak prawie jasnych, jak len, gładkich i lśniących nad czołem, w prosty, ciężki warkocz zwiniętych ztyłu głowy. Cerę twarzy miała bladawą i często zmęczoną, różowe usta i szare oczy, które kryształową swą przezroczystością przypominały czasem oczy dziecięce. Młoda była i niewątpliwie ładna, lecz każdy znawca ludzi poznałby w niej od razu jedno z tych dziewcząt, w każdym mieście licznych, które nie bawią się i nie stroją nigdy, jadają niewiele, oddychają powietrzem wąskich ulic i ciasnych izdebek. Taki sposób życia tamuje rozwój wdzięków i zarazem ukrywa je przed ludźmi. Nie pielęgnowane i nie uwydatniane, kwitną one blado i więdną niepostrzeżone, jak kwiaty, które spłwiałły w cieniu; zaćmiewa je i zasłania często łopuch byle jaki, lecz wygodnie i pysznie rozrastający się w blasku słońca. Blada i przywidła, z ulicznym gminem zmieszana, w swojej wiecznej czarnej sukience, szła Joanna zawsze ulicami miasta śpiesznie, z kibicią trochę naprzód podaną, z czołem trochę pochylonem, a drobne i kształtne jej stopy w grubym obuwii prędko, prędko stąpały po nierównych kamieniach chodnika. Teraz codziennie zeskakiwać musiała z chodnika i okrążyć mularskie rusztowanie, wzniesione u ściany sądowego gmachu. Raz tylko podniosła głowę, popatrzyła na robotników, pracujących u szczytu rusztowania, i pobiegła dalej. Pomiędzy nią a tym gmachem wielkim i napełnionym posepnymi dźwiękami sporów i zbrodni cóż wspólnego być mogło?

Nikt a nikt nie zwrócił był na to uwagi, ale to pewna, że przed niedawnym czasem wyraz jej twarzy bywał bardzo smutny i stroskany, a czarna suknia oszyta u dołu białą taśmą. Nosiła żalobę po ojcu i ciągle myślała o tem, że powinna koniecznie znaleźć sobie sposób zarabiania na życie, aby nie obciążać sobą ciężkiego życia brata. Była to myśl pozioma i prozaiczna, niemniej rysująca często głęboką zmarszczkę na jej młodziutkiem czołe. Cierpiała wtedy i dużo myślała, nietylko nad sobą, ale czasem nad całym światem i różnymi jego urządzeniami. Czasem także wyglądała tak, jakby wstydziała się czegoś, i wtedy jej oczy zdawały się pokornie przemawiać do ludzi:

– Przebaczcie mi, że istnieje!

Chodziła po świecie z nieustanną myślą:

– Na co ja komukolwiek lub czemukolwiek przydać się mogę?

Często bywała głodna i miewała podarte obuwie, myśląc zaś o kawałku chleba, czy bułki, albo o całych trzewikach, myślała zarazem:

– Wszakże biedny Mieczek sam nie ma zawsze kawałka mięsa, i koszule jego drą się już w kawałki... A tu jeszcze siedzę mu na karku!

Miała znajome i rówieśnice, które w takim samym jak jej położeniu żyły sobie zupełnie spokojnie, a niekiedy nawet i wesoło. Zręcznie i chciwie chwytaly drobne przyjemności życia, karmiły się niemi, oczekiwały lepszej przyszłości, nie rozglądały się po świecie i nie oglądały się na nikogo; było im dość dobrze.

Ona tak nie mogła. Dlaczego? Może sama natura stworzyła ją nieco inaczej, może naturze dopomogły w tym rozmowy usłyszane, książki przeczytane, widoki tych i owych istnień sąsiednich, trochę wiedzy, przelanej w jej głowę z ust ojca, który niewiele przed wydaleniem się swem z tego świata wydalony został z posady nauczyciela miejscowej szkoły męskiej. Gdyby był dłużej posadę tę zachował... A! wcale inaczej działałoby się teraz z dwojgiem jego dzieci. Ale zachować jej nie mógł. Dlaczego? Daleka przyszłość zdumiewać się nad tem będzie: był Polakiem. W sile wieku usłyszał, że nie ma prawa pracować tak, jak chciał i umiał, ani pożywać owoców swej pracy. Na miejskim cmentarzu nie otworzy się już mogiła, i nie wyjrzy z niej przedwcześnie osiwiła głowa pedagoga, z zaczerwienionymi od pracy oczyma i wielką chmurą zmarszczek, którą na czole jego złożyły nie lata, lecz jedna chwila, ta, w której mu w ścianach szkoły powiedziano: „Idź stąd precz, ponieważ tuś się urodził; miejsce twe zajmie ten, kto ziemi tej ani jej dzieci dotąd nie znał i nie widział”. Pedagog, nieco już pracą sterany, usłuchał odrazu i poszedł precz ze świata.

Dość długo Joanna biła się z różnymi myślami i zamiarami, aż dnia pewnego wbiegła do małej swojej kuchenki widocznie wzruszona. W rękę trzymała kosz z bielizną, którą do maglowania nosiła. Pomimo, iż był dość ciężki, prędko wbiegła po wąskich i stromych wschodkach i z łatwością postawiła go na stole. Szczupła, blada, miała jednak siłę organizacyjną nerwowych i czynnych. Postawiwszy kosz na stole, pozostała nieruchoma i zamyśliła się. Stała na podłodze z desek grubych i sterzących czarnymi głowami gwoździ; nad nią zwiślał sufit niski, ciemny od pyłu i dymu; pod czterema ścianami, oklejonymi lichem obiciem, stało parę stołów i ław drewnianych, szafka z kuchennym naczyniem, łóżko, zasłane szczupłą i białą pościelą. Tu sypiała; pokój przyległy służył za sypialnię i pracownię jej bratu, i było to już całe ich mieszkanie, znajdujące się na tak zwanej „salce”, czyli górnym piąterku domu, który wyglądał zupełnie tak, jakby wzór jego dokonany został przez pięcioletniego architekta zapomocą ustawienia z siedmiu kart dwóch trójkątów u dołu, a jednego w górze. Takie górne trójkąty domków miejskich zawierają w sobie najtańsze mieszkania; dlatego Lipsy zajęli je po śmierci ojca. Na dole znajdował się szynk ze sklepikiem od ulicy; dziedziniec roił się od mieszkańców różnej płci i wieku.

Promień zachodzącego słońca, wnikający przez małe okno, oblewał złotem głowę dziewczyny, a na czarnej jej sukni nielitościwie odkrywał starannie zacerowane rozdarcia. Splecione ręce zwiesiła na suknię, powieki miała spuszczone i na ustach marzący uśmiech. O czym z taką rozkoszą marzyła?

Obudziła się z zamyślenia, podniosła twarz i głośno klasnęła w ręce. Był to gest¹ radości. Z dziecinną też radością poskoczyła z miejsca i uchyliła drzwi sąsiedniego pokoju. Tu jednak palec do ust przyłożyła i samą siebie upomniała:

– Cicho!

Potem cichutko znów samą siebie zapytała:

– Śpi, czy nie śpi?

W pokoju, przybranym w dość liczne, ale staroświeckie i ubogie sprzęty, na twardej kanapie leżał młody mężczyzna średniego wzrostu, uderzającej chudości ciała, z twarzą ściągłą, ładną, ale której białłość niemal papierowa raziła pozorem niezdrovia, tem przykrzej, że odbijała od czarnego zarostu i okrywających oczy ciemnych okularów. Niegdyś Mieczysław Lipski był dzieckiem zdrowym, choć zawsze trochę powolnym i nieśmiałym, ale trwało to krótko. Miał lat szesnaście i ukończył pięć klas gimnazjalnych, kiedy cera jego nabywać poczęła tej przykrej, papierowej białości, ręce wychudły, ruchy zleniwiały; bolące oczy z porady lekarza okryto mu wtedy, jak starcowi, ciemnymi okularami; odtąd nigdy już ich nie zdejmował. Szkołę porzucił, do rzemiosła był za słaby, zaczął pracować w jednym z biur rządowych. Karjera jego była złamana na zawsze. Dlaczego? Nikt sobie o tem dokładnej sprawy zdać nie mógł. Prostu uległ był naciskowi czegoś niewidzialnego, ale przecie istniejącego – gdzie? W szkole, w domu, osmuconym dymisją ojca, czy w sposobie życia

¹ gest (z łac.) – ruch, znak. [przypis redakcyjny]

ubogiej rodziny, czy w moralnym powietrzu, którym oddychało to miasto? Możliwe, że dociec, lecz trudno dociekać. Bywają czasy tak okrutne, że oddechem swym zabijają nawet dzieci.

– Czy śpisz, Mieczku? Mieczku, czy śpisz?

Nie spał już, usłyszał ciche zapytanie siostry i, jeszcze niewyspany po ciężkiej pracy biedny kancelista izby skarbowej, leniwie wyciągając się na kanapce, wydobył z gardła wzajemne, gapiowato brzmiące pytanie:

– Ha?

Potem, podniósłszy się nieco, oba ramiona w całej ich długości w górę wyprężył i, głośno poziewając, dopóty usta szeroko otwierał, póki mu ich nie zamknął prawdziwy grad pocałunków. – Śmiejąc się głośno i mocno całując brata w usta, policzki, czoło, Joanna wołała:

– Mam już, Mieczku, mam, czego chciałam! Znalazłam!

Obojętnie, ale bardzo łagodnie uwolnił się z jej objęcia i nosowym trochę głosem zapytał:

– No, cóż tam takiego? Co znalazłaś? Pieniądze, czy co?

Poważniejąc nagle, odpowiedziała:

– Zajęcie.

Kancelista wyprostował się całkiem, zdjął okulary, wytarł je chustką, włożył napowrót i, z ciemnych szkieł zaczerwienionymi mrugającymi oczyma patrząc na siostrę, zapytał:

– Jakie? A pieniądze czy z tego będą?

Joanna stała o kilka kroków przed nim i opowiadała mu po raz pierwszy wszystkie swe troski i zmartwienia, któremi dotąd daremnie zasmucać go nie chciała. Niedawno powzięła już była zamiar wyjechania gdziekolwiek na początkową nauczycielkę, bonę, zarządzającą wiejskim jakimś domem... gdziekolwiek i na cokolwiek, byleby już raz coś z sobą zrobić, coś rozpocząć... Ale wahała się. – Sama nie wiedziała dobrze, do czego zdarna być może. To, co umie, umie dobrze, sam ojciec przecież ją uczył... ale niewiele... Przytem tak jej było żal rozstawać się z bratem! Dwoje ich tylko na świecie, a on często niezdrów bywa i jej starań potrzebuje...

Tu w szarych oczach opowiadającej zakręciły się łzy, lecz wnet zniknęły. Dziś spotkało ją wielkie szczęście. Rożnowska, właścicielka magła, kobieta dostatnia i położenie jej znająca, zapytała jej, czyby nie chciała uczyć jej wnuczek, dwóch niewielkich dziewczynek, bardzo mądrej nauczycielki jeszcze nie potrzebujących. Naturalnie, propozycję tę z wdzięcznością przyjęła. Małe Rożnowskie przychodzić do niej będą na lekcje, bo tam, przy turkocie i zawierusze magła, uczyć się niesposób. Ale to tylko początek. Rożnowska przyrzekła, że zarekomenduje² ją jakiejś swojej znajomej, która na tej samej ulicy ma dwa domy i chłopca, którego chce do szkoły przygotować. Chłopiec ten przyjaźni się z wnuczkami Rożnowskiej i razem z nimi na lekcje przychodzić będzie. Ale i to tylko początek. Byle zacząć! Ten duży Kostuś naprzykład, syn tego ślusarza, który wiecznie pije, a którego matka zabija się praniem bielizny, już ma dwanaście lat, a czytać jeszcze nie umie i często za ojcem do szynku wsuwać się zaczyna. Matka nad tym chłopcem ręce łamie i, gdyby go ktokolwiek chciał uczyć i od złego odwozić, choć uboga, wynagrodziłaby to wedle możliwości... Jest jeszcze w perspektywie³ dziewczynka tego mularza, który im w tym roku piec naprawił i córkę z sobą czasem przyprowadzał, i malutka Mańka, córeczka stróża, której też wkrótce pora będzie uczyć się czegokolwiek. Dzieci te zna już ona dobrze. Dużego Kostusia nieraz do swej kuchenki przyprowadzała i rozczochraną jego głowę zanurzała w wodzie i szorowała mydłem, poprostu piorąc tego chłopca, tak, jak matka pierze bieliznę. Ten śmieszny Kostuś, taki duży, barczysty, z wielką głową, chodzi zawsze zgarbiony, a stąpa tak ciężko, aż drży podłoga; łobuz też z niego, ulicznik, wódkę już lubi, a jednakże dla niej łagodny, jak baranek, daje się myć, czesać, napominać... Pewna jest, że można będzie tego chłopca od ulicy i szynku wyratować; co się zaś tyczy tej malutkiej Mańki, to oddawna już przepadają obie za sobą...

² rekomendować (z franc.) – polecać, zachwalać. [przypis redakcyjny]

³ w perspektywie (z franc.) – na widoku w przyszłości. [przypis redakcyjny]

– Ty zresztą wiesz, Mieczku, że ja wogóle za dziećmi przepadam... Nie wiem, dlaczego, ale tak jest... Może to po ojcu... Ot, myślałam i wymyśliłam. Rożnowska mi pomogła... Ale to tylko początek. Ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka, a później... później...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.